

Życie – śmierć – i co dalej...?

(1)

Przeglądając rejestr wejść na moją stronę zauważyłem, że na przestrzeni ostatnich dwóch lat, jednym z najczęściej czytanych, był i wciąż pozostaje artykuł pt. „**Czy trzeba obawiać się śmierci?**”. To oczywiście nie dziwi, jako że ludzie myślący, w sercu których kiedyś (najczęściej w dzieciństwie) zaszczepiono Bożą wiarę, świadomi, że wraz z upływającym czasem coraz bardziej zbliża się moment rozstania z życiem, chcieliby się dowiedzieć, co ich czeka <po drugiej stronie>... Wcześniej, przez wiele lat, skupieni na problemach życia – i tych dobrych, radosnych i szczęśliwych, i tych złych, trudnych i bolesnych – nie mieli czasu ani sił, a najczęściej po prostu zainteresowania, by rozmyślać o sprawach ostatecznych. Stąd traktowali je równie niedbale i/lub obojętnie, jak wiarę w Boga, którego samo istnienie nieraz wręcz kwestionowali...

Gdy jednak w życiu niektórych nieoczekiwanie pojawił się moment duchowej refleksji – spowodowanej najczęściej jakimś głębokim przeżyciem (np. poważną chorobą, rozczarowaniem, lub jakąś życiową tragedią) – pytanie o prawdziwy cel życia i wieczną przyszłość, stało się niezwykle ważne, a czasami wręcz dręczące... I wtedy nagle powróciło to wszystko, czego ich kiedyś nauczono w domu, w kościele, czy na katechezie...

Niestety, zwykle jest to wiedza cząstkowa, która rodzi więcej pytań niż udziela odpowiedzi. Za to napełnia lękiem i grozą! Wyobrażenia mrocznej krainy, pełnej nierzeczywistych, błakających się we mgle zjaw, przeplatają się z wizjami wiecznie płonącego – pełnego diabłów i jęków katowanych dusz – piekła... Nic dziwnego, że każda myśl o śmierci, zwłaszcza gdy jest ona już blisko, budzi lęk, a niepewność tego, co umierający spotka <po drugiej stronie>, przeraża!

Czy tak być musi?

Czy jesteśmy skazani na niewiedzę, niepewność i strach?

Czy Bóg, który nas stworzył i przez Jezusa Chrystusa zbawił, ukrył przed nami czym jest śmierć i co będzie później?

Bynajmniej.

Pan Bóg, który w Piśmie Świętym objawia kim jesteśmy i po co żyjemy na Ziemi, stwierdza, że śmierć jest tragiczną konsekwencją grzechu. Zarazem jednak zapewnia, że wszyscy, którzy umarli, ale wcześniej, za życia przyjęli Jezusa Chrystusa, jako swego osobistego Zbawiciela i jedyne Pośrednika między Bogiem a ludźmi – zostaną zbudzeni z grobowego snu w dniu Jego powtórnego przyjścia i zabrani do „**domu Ojca**” (Jan 14,1-3)!

Niniejszy cykl artykułów jest poświęcony śmierci i umieraniu. Czytelnikom moim życzę, aby znaleźli w nim odpowiedź na swe liczne i często niepokojące pytania. Niechaj Przewodnikiem w poszukiwaniach będzie Ten, Który po Swoim zmartwychwstaniu powiedział: „**Przestań się lękać! Jam jest Pierwszy i Ostatni, i żyjący. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków. I mam klucze śmierci i Otchłani**” (Obj 1,17.18).

PRZYMUSOWY ODPOCZYNEK

Stałam przed drzwiami pokoju szpitalnego. Przed naciśnięciem klamki, chwila wahania: co powiedzieć chorej, jeśli moje słowa nie mają być tanim pocieszeniem?...

Pacjentką była moja sąsiadka, osoba bardzo zajęta, a przy tym bardzo niecierpliwa. Jej dotychczasowe życie było nieustannym obowiązkiem i gonitwą za uciekającym czasem. Oboje z mężem wiele osiągnęli. Obszerny, prawie całkowicie wykończony dom, duży ogród, dwoje ładnych i zdolnych dzieci. I wciąż nowe plany i zamierzenia. I nie kończąca się praca, często ponad siły, ustawiczny brak czasu, nerwy i stres. Z biura do obowiązków domowych i pracy w ogrodzie; troska o dzieci, i troska o pieniądze. Na moje uwagi, że powinna się oszczędzać,

miała niezmiennie tę samą odpowiedź:

– „Muszę! Potrzebujemy pieniędzy na wyposażenie mieszkania. Do tego mąż chce wreszcie postawić trwałe żelazne ogrodzenie i odpowiednie oświetlenie całości... Sama widzisz – nie da się inaczej!”

Nagle zasłabła i lekarz pogotowia natychmiast zabrał ją do szpitala z rozpoznaniem groźnej choroby. Potrzebna była natychmiastowa operacja, która dzięki Bogu się udała, ale czekało ją długie leczenie. Okazało się też, że nigdy już nie wróci do pełnej sprawności. Idąc do niej po raz pierwszy, nie wiedziałam w jakim stanie ją znajdę, i co mogę jej powiedzieć...

Pierwszym zaskoczeniem był dla mnie wyraz jej twarzy. Mimo, że blada i widocznie osłabiona, leżała spokojnie, z jasną twarzą. Uśmiechnęła się na mój widok i pozdrowiła lekko uniesioną ręką.

– **„Jakkolwiek dziwnie miałyoby to zabrzmieć – powiedziała w rozmowie – to właśnie tutaj zażywam spokoju i naprawdę jest mi dobrze. Pielęgniarki i lekarze są grzeczni i troskliwi, dzieci są pod opieką mojej mamy, a mąż uważa, że nie ma pośpiechu z tym ogrodzeniem – że może kiedyś później... Wszyscy mi mówią, że najważniejsze jest, bym wyzdrowiała... I ja też tak uważam.”**

Wszystko to, co usłyszałam od niej tego dnia, w równej mierze mnie zdziwiło, co uradowało.

Dopiero w szpitalu zrozumiała, jaką wartość ma życie i odkryła, jakim wspaniałym darem może być wewnętrzny spokój. Zauważyła, jaką wartość ma dzień przeżyty bez pośpiechu i gonitwy...

– „Już wcześniej z rana słyszę rozśpiewane ptactwo! Wcale tego nie zauważałam, gdy byłam zdrowa... Z okna patrzę na wysokie drzewa w szpitalnym parku... Dopiero teraz rozumiem, co traciłam, miotając się w różne strony...”

Zawsze tęskniła do piękna i harmonii. A równocześnie chciała realizować różne życiowe plany, swoje i męża. Jednak życie podyktowało jej zawrotne tempo i z harmonii zrobił się galimatias.

– „Dopiero w szpitalu zrozumiałam, że aby stworzyć harmonię wokół siebie, najpierw trzeba ją posiadać w sobie. Nauczyłam się, że nie wolno mieć wygórowanych oczekiwań wobec życia... Coś ważnego wydarzyło się w moim życiu... Kiedy wyzdrowieję, zmienię swoje postępowanie. Przestaną zwracać uwagę na nieważne drobiazgi, biegać ze ścierką za każdą drobiną kurzu, jaki dzieci wniosą na butach...”

Umilkła i zamyśliła się. Po chwili spojrzała na mnie uważnie, na jej policzki wypłynął lekki rumieniec, gdy dobierając starannie słowa, powiedziała:

– „Jest jeszcze coś... To ma związek z Tobą, z tym, na co czasami starałaś się zwrócić moją uwagę... Uświadomiłam sobie, że mogłam nagle umrzeć i stanąć przed Bogiem! I przeraziłam się!... Przeraziłam się bardzo, bo dotąd tak naprawdę nie mam pewności zbawienia... W życiu moim i mojej rodziny na wszystko musiał być czas, ale nie na sprawy duchowe... Jakiż to nonsens, biegamy wokół tego, co ma znaczenie w okresie kilkunastu czy kilkudziesięciu lat, a zupełnie nie dbamy o sprawy, które mają wymiar wieczny! Przy tym, tu chodzi nie tylko o nas, rodziców, ale także o nasze dzieci. To my kształtujemy ich poglądy i nadajemy kierunek ich życiu. To wielka odpowiedzialność...”

Przerwała i przez chwilę mocowała się z sobą. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy:

– **„Mam wielkie poczucie winy... A równocześnie jestem ogromnie wdzięczna Bogu, że dał mi jeszcze szansę, że dał mi jeszcze czas... Pragnę wykorzystać go jak najlepiej... I cieszę się, że mam Ciebie. Chcę zapytać o tyle rzeczy...”**

Słuchając jej, modliłam się w duchu modlitwą uwielbienia. Przez wiele lat co pewien czas wydawałam jej świadectwo o

Jezusie. Było to podobne do <rzucania grochem o ścianę>. A teraz...

– „Boże, – mówiłam – rozpocząłeś w niej swoje dzieło. Dziękuję Ci bardzo, i proszę: dokończ je w niej!”

I. Schweizer Tranbardt

